Bezpłatny dodatek do Nr 251 „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 24 Kraków, niedziela, dnia 13 września 1936 r.

STANISŁAW PIGOŃ

Po reformie pisowni

Od 1 września obowiązuje nas nowa ortografia. Rezultat 1½-rocznej pracy Komitetu Ortograficznego wszedł już w życie; szkoła, publiczność pisząca musi zacząć się przeuczać. Powiedzmy wyraźnie: rezultatu tego nie należy podważać w opinii, nie trzeba szerzyć zamętu. Jaki jest, taki jest; przyjmiemy go z ulgą i będziemy stosować. Kto zresztą zakosztował bezpośrednio walki o reformę ortografii, podobnie jak ten, co zaznał rowów strzeleckich, niechętnie będzie myślał o ponowieniu gry. To też nie o podkopy pod uchwaloną i zatwierdzoną ortografią będzie chodzić w niniejszym artykule.

Jeżeli do tej sprawy, już zamkniętej, wracamy, to pod kątem widzenia innym od dotychczasowych. Ostatecznie wypadek był niepowszedni. Niemal 30 ludzi z rozmaitych środowisk elity umysłowej, w cieniu czcigodnych murów Pol. Akademii Umiejętności, głowiło się tak długo nad rozwiązaniem pewnego zadania, nad uporządkowaniem jednego wycinka sprawy społecznej. Na drobnym co prawda wykrawku, niemniej sprawa szła „de emendanda Republica“. Reformatorów było pół kopy, reforma jest wypadkową stanowisk i poglądów różnych, nierzadko zasadniczo różnych, które się ścierały i wychodziły — jedne zwycięskie, inne zwyciężone, czasem obie zgodzone. W takiej szermierce ujawnić się musiała różnica nie tylko temperamentów czy jakości uzbrojenia umysłowego członków Komitetu, ale i głębsza różnica — by tak rzec — ich stylów kulturalnych. Raz po raz zahaczano o takie hasła jak: tradycja, postęp, ich stosunek w dziele formowania życia zbiorowego i t. p., opowiadano się ci za tym, tamci za owym. No cóż, w kropli woda jest ta sama, co i w jeziorze; Komitet w układzie swym psychicznym wykazywał ten sam oczywiście przekrój, co i społeczeństwo.

Poza rezultatem więc konkretnym, ujętym w uchwały, wyrażonym w zasadach przyjętej pisowni, mogą nas zaciekawić również drogi, którymi doń się doszło; poza wypadkową interesują też kierunki i napięcia sił składowych, których ona jest funkcją. Wszystko to bowiem może coś powiedzieć o tendencjach duchowych, czynnych w warsztacie dzisiejszej przetwarzającej się kultury społecznej. Z tej strony przystępując do przeglądu sprawy, można będzie przy sposobności oświetlić genetycznie ten czy ów szczegół dokonanej reformy.

Z DUCHA CZASU.

O reformie tej powiedzieć należy, że w stopniu wyższym, niż którakolwiek z jej poprzedniczek, jest prawym dzieckiem swej epoki, wytworem jej atmosfery duchowej: epoki rozmaitych rewizjonizmów, czasu, w którym trzeszczą elementarne podwaliny całej naszej budowli cywilizacyjnej, w którym z aprioryczną nieufnością rozpatruje się dawne założenia i ustalenia. Pasja rewizji, i to rewizji fundamentalnej, jest rodzicielką i tego także dzieła. Wytyczna „ordre de bataille“ Komitetu ułożyła się od razu w ten mniej więcej sposób: nic w pisowni nie jest niewzruszone, wszystko można zmienić, a w każdym razie wszystko, każdy przedłożony projekt, choćby najosobliwszy, należy przedyskutować do gruntu. Zasada, jak widzimy, i tendencja radykalna. Ujawniła się ona, jak się rzekło od razu.

Punktem zaczepienia całego dzieła reformy stała się drobna uchwała Zjazdu Polonistów z r. 1930, mówiąca jużcić o potrzebie „rewizji“ pisowni z r. 1918, ale tylko takiej która by usunęła „rażące sprzeczności i niejasności w obowiązujących prawidłach“. Jeśli dodamy, że takich „rażących sprzeczności“ nie było tam znów nadmiernie wiele, jasne będzie, że uchwała tamta nie niosła w sobie jeszcze zarzewia przewrotu, nie wymagała zrewidowania całej struktury pisowni. Tym czasem grudka tak drobna dała powód do wielkiej lawiny. To tak, jakby kto pragnął wyrównania gzymsów na fasadzie domu, a budowniczy jął się gruntownej przebudowy całości. Ministerstwo W. R. i O. P., godząc się na współudział w Komitecie, zgodziło się też na poddanie rewizji całości zasad z r. 1918. Oczywiście, nie można zamykać oczu i na dobre strony stanu rzeczy, który stąd wyniknął: Po raz pierwszy to w dziejach prac nad ortografią przedyskutowano sprawę w całej rozciągłości tak gruntownie i w tak dużym a zróżniczkowanym gronie. Przedyskutowano właśnie do gruntu.

„LIBERALIZM“ I „OBSKURANTYZM“.

Ten radykalizm punktu wyjścia odbijał się też na całym toku reformy. Rosły jak grzyby po deszczu projekty przeróżnych (niekiedy dziwacznych) przemian i spotykały się z poważnym traktowaniem. Prawda, odrzucono prawie bez dyskusji zgłoszone projekty wprowadzenia nowych liter (*r* z haczykiem i inne), ale poważny referat poświęcono projektowi, który jak Polska Polską nie był jeszcze traktowany na serio, mianowicie by znieść duże litery i zarówno nazwiska jak zdania zaczynać od małych. Odrzucono i to ostatecznie bez dużego trudu. Natomiast projekt inny, niemniej cudaczny (jużcić nie bezprzykładny: obowiązuje w ZSRR, ale nie obowiązuje nigdzie na zachodzie Europy), by oznaczenie narodowości pisać małą literą *(polak, francuz)*, już-już a byłby się stał prawidłem (sławny stał się zwrot użyty przez jednego ze zwolenników, że Polak, Francuz, jest takimże samym określeniem jak buldog, doberman). Odrzucenie go zawdzięczamy tylko przewodniczącemu, który swym głosem uchwałę przeważył. Połowie członków Komitetu pomysł ów, zrywający z wiekową tradycją polską, wcale się podobał.

Dla niektórych podobnie radykalnych pomysłów znajdowała się czasami nawet większość. Do bardziej symptomatycznych należy próbne głosowanie na pierwszym zaraz plenarnym posiedzeniu Komitetu, kiedy to wyraźna większość opowiedziała się za pisownią: *Żym* i *Hrystus*. Jakoż nie brakło wcale gorących obrońców tego dziwactwa, ostatecznie też odrzuconego.

Właściwie z podobnegoż radykalnego rozpędu wdarł się na obrady Komitetu projekt pogromu *j* w słowach typu *Marja*. Pamiętano, ile i jak długiego trudu najtęższych głów (Baudouin de Courtenay, Brücknera i in.) kosztowało wprowadzenie tu *j*: pamiętano, że sam przewodniczący Komitetu bronił niegdyś uchwały z r. 1918 w tym punkcie i uważał ją za „poważny krok w uzgodnieniu naszej ortografii z nauką“. Utyskiwania na stan rzeczy spowodowany tamtą uchwałą były nieznaczne i tyczyły rzadkich wypadków *(fortepian* i t. p.). Aliści niespodzianie dla samego prezydium zjawił się projekt wyrugowania zasiedziałej już joty. Po niejakich wahaniach w redakcji, projekt ów stał się obowiązującą zasadą. Jak rewizja to rewizja!

Przy czym rzecz charakterystyczna. Kiedy już okazało się, że w oczach większości system z jotą zbankrutował i kiedy wystąpiono z projektem dobrze uzasadnionym, by w takim razie wrócić poprostu do zasady Akademii z przed r. 1918 *(ya, ia)*, zasady jasnej i prostej, a mającej za sobą tradycję wielu lat, — powiedziano: nie! publiczność już odwykła od pisowni: *Marya*. Musi się więc teraz przyzwyczajać do *Marii*. Byle reformować, rewidować, przebudowywać! Obrońców dawnej zasady obzywano „obskurantami“ (niby przez analogię do tradycjonalistów XVIII w.), za nowa wojując w imię „postępu“.

POWIEWY ANTYHISTORYZMU.

Otóż w tym rozpędzie radykalizmu reformatorskiego, który w toku prac Komitetu niemało nabruździł, choć oczywiście w ostatecznych postanowieniach wyraził się tylko częściowo, — uderzać musiał jeden jeszcze rys symptomatyczny: wyraźnie zmniejszony wzgląd na ciągłość dziejową obyczaju ortograficznego. Wolno i w tym widzieć znamię czasu. Doprawdy, słuchając np. argumentów za pisownią: *polak*, musiało się przypomnieć aforyzm, jaki dotarł do nas z Rosji po przewrocie bolszewickim: „Historia? To pomyłka! My zaczniemy na nowo“.

Ten sui generis antyhistoryzm ujawnił się jeszcze inaczej: zreformowana ortografia staje mianowicie w poprzek pewnym przyrodzonym tendencjom, ujawniającym się w formacji obyczaju mowy. Wiadomo, że język nasz tworzy zrosty przysłówkowe, np. przyimka z rzeczownikiem *(wczas)*, przyimka z zaimkiem *(wtem)*, zaimka z rzeczownikiem *(tymczasem)*, nawet przyimka z zaimkiem i rzeczownikiem *(dotychczas, natychmiast)*. Zrosty te kiedyś tam stwardniały, związały się nowo umiejscowionym akcentem, i dzisiaj stanowią w odczuciu naszym całość organiczną, samoistną. Któż dziś, pisząc np. *natomiast*, pamięta, że to znaczyło niegdyś: na to miasto (miejsce). Organiczność zrostu jest faktem. Zdawałoby się, że zadaniem pisowni jest uznać takie fakty i dać im wyraz w obrazie graficznym. Godziłoby się to przez respekt dla procesów historycznych, dla żywych tendencji, których językoznawca negować przecież nie może.

Tym czasem w obradach Komitetu fakty takie, wytworzone w toku dziejów, zasiedziałe w nawyku, nie dość znalazły uznania. „To pomyłka! Zaczniemy na nowo“. Dość powiedzieć, że na serio proponowano pisownię: *do tych czas*, (zapewne i: *na tych miast*) *na wzajem* i t. p. Że w ten sposób pisownia miałaby galwanizować co zamarło, rozrywać, co się zrosło, że miałaby się stać zaporą przeciwko żywej tendencji języka, że — słowem — wykraczałaby jaskrawo poza swe właściwe zadania, — uznanie tego musiało sobie dopiero torować drogę wśród niektórych członków Komitetu.

„Obskuranci“ powściągnęli tu w niejednym rozpęd „radykałów“, ale odwojować zdołali zaledwie garść... wyjątków. Zasada sama nie dała się obalić. Sprawa zaś wyjaskrawia się wskutek innej wkraczającej tu uchwały: o jednolitej końcówce *-ym* w 6 przypadku przymiotników i zaimków. Przysłówki mianowicie, które w zrostach swych mają formę narzędnika zaimkowego, zmieniają kształt: mamy więc pisać: *poza tym* (np.: „poza tym podoba mi się“), *przy tym* („wesoła przy tym i żywa“; przy którym? — gotów pytać czytelnik) i t. p. Wyjątków dopuszczono zaledwie kilka: *wtem, zatem, potem* (ale już: *przy czym, po czym*, np. „po czym usiadł i zaczął mówić“ [1]). Zasady, żeby prawidła o narzędniku przymiotników i zaimków nie rozciągać na przysłówki, nie udało się przeprowadzić; równie jak i tej, by go nie rozciągać na rzeczowniki, choćby miały odmianę przymiotnikową *(czesne, komorne;* dzisiaj musimy się martwić: wysokim komornym. Mniejszość może zanotować drobny jedynie sukces przy nazwach miejscowości, formy: *w Zakopanem* i t. p.)

[1]) Strach pomyśleć: jakiś przyszły Zjazd Polonistów gotów znowu zahaczyć o tę niekonsekwencję i podpalić całą budowlę. A jest tych niekonsekwencji więcej, np.: *naprzód, nazad*, ale *na bok, na wspak, na prost, w tył; wstecz*, ale *w przód*, i t. p.

(Ciąg dalszy na str. 2).

G. SUSKI

U brzegu

W imie Ojca i Syna
i Ducha Świętego.
Amen.

Ty widzis Panie,
jako sie moje dni mineny,

jako jek dzisiok som
u brzegu
przepaści stanon —

Próżny kaganek

Gasne.

Ino mie teroz cosi
wse
ku ciemni strasnej —
dołu —
ponosi,
pre,
ciągnie, jak ołów...

Na ostryk zębcak hań,
na krzesanicak żlebu
krzyk ludzki zakamienioł,
kie darł się w grań,
ku niebu.

I jobyk jesce rod
pokielak tu i młody —
ku ciemni téj załobnéj
iść,
obudzić ludzki krzyk
zakamieniały w grani
i puścić go
ku Tobie
Miéłyz Ty Mocny,
Kany...

Po reformie pisowni

(Dokończenie ze str. 1).

Względ na utrwalony obyczaj ortograficzny, na ciągłość historyczną obrazu graficznego, nie do wszystkich przemówił dość silnie.

KONSEKWENCJA I UŁATWIANIE.

W dyskusji przy wszystkich tych i tym podobnych wypadkach wybijał się na czoło względ inny: na jednolitość i konsekwencję. Zaiste, względ nie błahy. Nie błahy zwłaszcza dla szkoły, gdzie postulat ułatwienia pisowni należy do naczelnych. Usunąć, ile się da, trudności dotychczasowej pisowni, ująć jak najprościej normy przyszłej: — oto wytyczne delegatów nauczycielstwa i ministerstwa.

Wytyczne oczywiście słuszne. Poprawne pisanie jest dziś w szkole powszechnej, w gimnazjum, ba, w uniwersytecie także, twardym orzechem do zgryzienia; trudnoż się dziwić nauczycielstwu, że pragnie, by łupina tego orzecha była możliwie cienka. Prymat postulatów szkoły przy ustalaniu norm pisowni przez Komitet był więc aktualny. Czy bez zastrzeżeń? — to znowu inna sprawa.

Powiedziano np.: Da się stwierdzić statystycznie, że największą ilość błędów robi młodzież szkolna (dodajmy: uniwersytecka także) właśnie przy nieszczęsnym rozróżnianiu *-ym, -em, -ymi, -emi* w narzędniku. A zatem — wniosek niby prosty — należy ustąpić i zarzucić tu tak nadmiernie trudne rozróżnianie rodzajów. Tak się też i stało. Nie każdy jednak zdoła powściągnąć cierpką refleksję: i tutaj więc „życie ułatwione"!

Czy ustępliwość taka chwalebna jest bez zastrzeżeń? Przecież to dopiero dzisiejsza szkoła średnia nie umie się uporać z trudnościami ortografii. Nie tak dalekie to czasy, kiedy do wyższego gimnazjum zamknięty był dostęp tym opóźnionym, co arkanów pisowni nie posiedli całkowicie w niższych klasach. I to skutkowało. Młodzież zaboru rosyjskiego opanowywała bez reszty (o ileż dla niej trudniejszą!) pisownię rosyjską, obcą. Jakoś to zdołała. Dzisiejsza ma nie zdołać? Trzeba jej przybliżyć metę rekordu? Przybliżyć — o ile? Czy i przed innymi błędami ustępować? A bywa ich — co tu taić — nie mało. Mam przed sobą list studenta uniwersytetu, polonisty, który się usprawiedliwia, że coś tam musiał „opóścić". A w gimnazjum był dobrym uczniem. Może i tu kto zrobi statystykę i zawoła o... życie ułatwione? Czy aby jesteśmy na dobrej drodze z tą gorączką ułatwień?

Mniejsza o to. Piszemy dzisiaj wszędzie *-ym, -ymi*, i to — choć się kłóci z wymową — jest niewątpliwie proste, do nauczenia łatwe. Zapiszmy to więc na plus nowej ortografii. Nie zamykajmy jednak oczu i na minusy. Bo są, i bynajmniej nie błahe. Uproszczenie chadza, niestety, w parze z ubożeniem.

KŁOPOTY LITERATÓW.

Można powiedzieć ogólnie: język tym jest bogatszy, tym giętszy i sprawniejszy, im snadniej potrafi każde znaczenie, każdy odcień znaczenia, oddać osobnym wyrazem, czy osobną formą wyrazu. Dotyczy to i ortografii. Jeżeli w piśmie zdołamy się wyrazić dokładniej jeszcze niż w mowie, tem lepiej dla języka, dla jego precyzyjności, dla jego bogactwa. O precyzyjność zaś, o sprawność i bogactwo języka dba nie tyle szkoła, ile literatura piękna, twórcy: poeci, powieściopisarze. To też słusznie, że tym więcej musi zależeć na precyzyjności, niż na uproszczeniu form wyrazowych, ortograficznych.

Otóż trzeba podnieść znowu, jako cechę ogólniejszego znaczenia, ten fakt, że ostatnia reforma pisowni została przeprowadzona pod hasłem — raczej: frontem ku szkole, niż: frontem ku literaturze pięknej. Przez uproszczenia szkolne utrudniono w niejednym pisarzowi-twórcy precyzyjną rzeźbę jednoznacznego wyrazu artystycznego. Niektórzy z twórców już to odczuli i nie tają się z zastrzeżeniami.

„Pragnę np. wyrazić — mówił mi jeden — że dusza mojej bohaterki w chwili uniesienia weszła w styczność z Nieznanem. Jakim prawem przepisy ortograficzne nakazują jej, by wchodziła w styczność z jakimś Nieznanym; jakim prawem każą mi używać dwuznacznika tam, gdzie pragnę (i dawniej mogłem) wyrazić się jednoznacznie!" — Trudno odmówić racji tym zastrzeżeniom.

Albo inny przykład, jeszcze wyraźniejszy, bo dotyczy faktu przeszłego i to wypadku, którego dotkliwość poczuje na sobie nawet szkoła. Uczeń, ukształcony w nowej ortografii, przeczyta w „Dziadach":

Samotność! Cóż po ludziach?
Czym śpiewak dla ludzi?

Przeczyta i — utknie. O co tu chodzi? Czy to ma znaczyć: — Czy jestem śpiewakiem dla ludzi? Czy też to drugie: — Czem jest śpiewak dla ludzi? Znowu mamy wypadek dokuczliwej dwuznaczności; napotykamy trudność interpretacyjną, której nie rozstrzygnie, kto nie zna pisowni dawniejszej, dziś już usuniętej. Nie ma dwóch zdań: uproszczenie pisowni (a zastosowano je także, znosząc różnicę między dopełniaczem liczby pojedyńczej i mnogiej: *tej Marii — tych Marii*), będące siłą rzeczy zarazem zubożeniem precyzyjności wyrazu, o ile ułatwi sprawę uczniom w szkole, o tyle utrudni ją twórcom, mistrzom języka, poetom i powieściopisarzom. „Życie ułatwione" nie wszędzie wydaje skutki dobre bez zastrzeżeń.

WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ.

Możnaby snuć te refleksje jeszcze dalej, możnaby w nowych prawidłach pisowni naszej uwydatnić niejedno światło i niejeden zaznaczyć cień, można się kusić o wyprowadzanie ich z podłoża psychicznego i z warunków społecznych dzisiejszości. Ale i tego, co się rzekło, wystarczy, by wskazać niejaką słuszność tezy naczelnej, że ostatnia reforma jest tworem, i nosi w sobie znamiona ducha czasu, wsparła się na hasłach, mających dzisiaj dość szeroki walor obiegowy.

W tym jej siła, ale w tym i słabość. Kiedy wigor tych haseł osłabnie: kiedy opadnie ogólna gorączka rewizjonistyczna, kiedy historyzm, respekt dla ciągłości dziejowej, dla twórczego dobra przeszłości, znów wzbierze na sile, kiedy następnie w szkole punkt ciężkości przesunie się nieco ku kształceniu formalnemu, kiedy wzmoże się reakcja twórców na uciążliwości uproszczeń, — wtenczas, nie ma na to rady, sformuje się znów atmosfera duchowa, sprzyjająca, a może nawet wymagająca ponownego rozpatrzenia zrębów i wiązań pisowni. Ale na to potrzeba co najmniej dziesięcioleci.

Na dziś — wracamy do punktu wyjścia — w obecnym układzie sił i dążeń, innej, lepszej reformy mieć nie możemy, nie stać na nią psychicznie dzisiejszego pokolenia. To też, orientując się w jej strukturze, nie we wszystkim może dla wszystkich miłej, w jej słabościach nawet — istniejących tam obok wielu wyraźnych zalet, — orientując się zwłaszcza w splocie poglądów i tendencji, których jest wypadkową, przyuczymy się do niej i będziemy się nią lojalnie posługiwać.

JÓZEF POPIELIŃSKI

Nadmiar i głód złota

Czytelnicy gazet z zainteresowaniem śledzą dane, dotyczące ruchu złota to przez Ocean Atlantycki z Europy do Ameryki, czy w odwrotnym kierunku, to znowu przez kanał La Manche z Francji do Anglii lub z Anglii do Francji. Te trzy państwa: Stany Zjednoczone A. P., Anglia i Francja posiadają największe ilości złota, zazdrośnie strzeżonego w skarbcach, wybudowanych ogromnym nakładem kosztów. Wymienione państwa są również obecnie dyktatorami finansowymi świata. Bo złoto w obecnym układzie gospodarczym świata jest tym metalem, na którym oparto ustrój pieniężny i stan zasobów złota w skarbcach danego państwa jest niemal miernikiem jego potęgi gospodarczej.

Nigdy zapewne o złocie nie pisano tyle, co obecnie, gdy panuje poprostu nienasycony głód tego metalu. Nigdy też złoto nie posiadało tej ceny, co obecnie. Siedem funtów szterlingów za uncję, to znaczy za 28.4 gr. złota stanowi rekordową cenę od czasu odkrycia bogactw Południowej Ameryki przez hiszpańskich konkwistadorów. Złota szuka się wszędzie: w dziewiczych lasach Brazylii i na Nowej Gwinei, na pokrytych śniegiem i przez słońce spalonych pustkowiach, w skałach i rzekach, w pustyniach pięciu części świata. Mało kto wie, że i w Europie są jeszcze złoża złota. Tak naprzykład francuskie złoża tego cennego metalu dają rocznie 3.000 kg. złota, posiadającego wartość większą, niż złoto, które ongiś przywieźli hiszpańscy awanturnicy z Peru. I któżby przypuszczał, że w roku 1936 jednoroczne zaledwie wydobycie złota we Francji przekracza swą wartością legendarne skarby peruwiańskich Inkasów oraz wartość ich rzekomo niewyczerpanych złóż złota. Skoro roczna produkcja światowa złota jest tak wielka (jak o tem przekonamy się poniżej), możnaby się zapytać, czy też nie wydobywa się go za dużo w stosunku do istotnych potrzeb światowych? I czy wogóle nie nagromadzono go już za dużo?

Bynajmniej, a nawet wprost przeciwnie. Sytuacja jest o tyle paradoksalna, że **głód złota istnieje, jakkolwiek nigdy nie produkowano go tyle, co obecnie.** Od paru lat masy produkowanego złota rosną wprost z zawrotną szybkością. Od końca wojny światowej do roku 1931 wzrosło jego wydobycie roczne do 500.000—600.000 kg. i już te ilości znacznie przewyższały wydobycie przedwojenne. A tym czasem od dwu lat wydobycie złota zwiększyło się prawie dwukrotnie i w r. 1935 wyniosło fantastyczną sumę 960.000 kg., a liczyć się należy z tym, że rok bieżący da produkcję ponad miliona kg. Rosja zwiększyła swą produkcję w stosunku do roku 1914 dziewięciokrotnie i wydobyciem 360.000 kg. zajmuje drugie miejsce wśród producentów złota. Prawdopodobnie w tym roku Rosja prześcignie ilością dobywanego złota południową Afrykę, która dotąd w 60 procentach pokrywała światowe zapotrzebowanie tego metalu. Rosji potrzeba wiele złota, choćby na kolosalne zbrojenia, to też wysiłek sowiecki zwrócony ku uzyskaniu jak największych ilości złota jest olbrzymi. Prawie 800.000 ludzi pracuje w syberyjskich kopalniach złota przy użyciu nowoczesnych maszyn. Tam, gdzie przedtem posługiwano się metodami prymitywnymi i najzwyczajniejszym przemywaniem piasku rzecznego, ustawiono obecnie potężne maszyny, dziennie przerabiające ogromne ilości surowca, któremu chce się wydrzeć żarłocznie najmniejszy pyłek złota. Z równym natężeniem pracują kopalnie złota w angielskich koloniach.

W r. 1932 dwaj koloniści z Kenii w Afryce, znalazłszy się w opłakanych warunkach po stracie wszystkiego w przedsiębiorstwach, które nie miały powodzenia, udali się w odludną okolicę, by zbadać tam możliwość założenia plantacyj kawy. Gdy zatrzymali się nad brzegiem pewnego strumyka, przykuły ich wzrok błyski, bijące z jakiegoś przedmiotu. Gdy to wzięli w ręce, przekonali się, że **mają w rękach złoto.** Była to bryłka złota, ważąca osiem uncyj. Obecnie rozpoczęto już racjonalne wydobywanie z tej okolicy złota. Coś podobnego zdarzyło się i w Nowej Gwinei: przypadek pozwolił na odkrycie bogatych złóż złota z okolicy, do której można było dojść dopiero po 5 dniach uporczywego przedzierania się przez dżunglę. Urządzono tam lotnisko, zwieziono samolotami maszyny, rozłożone na takie części, by nadawały się do transportu aeroplanami i obecnie w dzikiej, dalekiej od cywilizacji okolicy dobywa się znaczne ilości złota. Potężne płatowce znoszą złoto ku wybrzeżu, przy czym handel złotem na owym lotnisku wśród pierwotnej puszczy przekracza obroty wielu innych punktów sprzedaży złota.

W niedługim czasie światowa roczna produkcja złota osiągnie zapewne 1.200.000 kg. Już obecnie zapas złota wszystkich banków świata zwiększa się rocznie o 1000 ton. **Wszystkie banki posiadają razem około 25.000 ton złota wartości 375 miliardów franków.** Ilości złota, będące w posiadaniu prywatnych ludzi są w porównaniu z owymi zapasami banków nieznaczne

(Ciąg dalszy na str. 3).

J. FISZEROWA

O, ŻYCIE...

Janka czuje się bardzo zmęczoną; wprawdzie chodzi do biura i spełnia swoje codzienne obowiązki, ale z każdym dniem czuje się słabszą. Nie zdaje sobie jeszcze sprawy ze stanu zdrowia, choć suchy kaszel — zdaje się, że — rozszarpie wątłą jej postać. Ona jednak na to nie zważa; jak automat idzie do biura, jak automat wraca do domu. Tylko ręce i nogi coraz więcej ciążą, — tylko dziwne zdenerwowanie oplątuje jej duszę. Od koleżanek i kolegów odsunęła się zupełnie. Zamarło w niej to coś, co ją łączyło z ludźmi. Zmęczona i znużona chce stworzyć swój własny świat. Zamknięta w pokoju po godzinach biurowych oddaje się czytaniu; pochłania romanse. Nie istnieje dla niej inny temat, — tylko miłość. Z misternych scen z szału, z przeżyć książkowych bohaterów stwarza swój obraz miłości i niezdrową tęsknotę za nią. To jej wypełnia życie. Stany podgorączkowe jeszcze potęgują jej wrażliwość. Wchłania niezdrowy erotyzm, staje się niewolnicą marzeń do tego stopnia, że w jej umyśle zaciera się granica dzieląca rzeczywistość od fantazji. Żyje podnieceniem, aż wreszcie przychodzi zupełny upadek sił.

Janka udaje się do lekarza; sądzi, że parę dni odpoczynku wystarczy, by wrócić do zdrowia. Lekarz jednak stwierdza, że jest potrzebny wypoczynek dłuższy, w sanatorium, że musi zrezygnować z zajęć biurowych. Z trwogą wpatruje się Janka w twarz lekarza. Nie może z niej nic wyczytać, lecz obłędna myśl zaczyna nurtować jej duszę: a może to gruźlica? Cichym głosem zapytuje o stan zdrowia. Słyszy odpowiedź: stan zdrowia wymaga „gruntownego leczenia", i twarz lekarza zaraz przybiera wyraz obojętności i chłodu.

Janka wraca do domu; wizyta lekarska zupełnie ją wyczerpała. Rzuca się na łóżko i płacz wstrząsa ciałem młodej dziewczyny. Za wszelką cenę chciałaby żyć. A tymczasem?... jakieś tam leczenie. Janka nie myśli, że to jej ostatnia choroba; myśl o śmierci odsunęła energicznie, — wszak jeszcze taka jest młoda. Nie świeci lampy. — Leży po ciemku, byle zasnąć, byle odpocząć. Na ciche pukanie gospodyni odpowiada, że rezygnuje z kolacji; nie chce by ktokolwiek widział ją zapłakaną, a zwłaszcza gospodyni.

Głowa płonie. Czuje dreszcze, sen jak na złość nie przychodzi. Janka przeżywa powtórnie ten moment, jak wynajmowała ten pokój. Straciła matkę. Przyszły z siostrą; gospodyni wydała jej się sympatyczną, a zresztą wszystko jej było jedno, gdzie będzie mieszkać. Ze śmiercią matki straciła dom rodzinny; pozostało jej tułanie się po mieszkaniach, biuro i pustka życia... Siostra wyjechała do Warszawy, Janka została sama. I mimowoli usta Janki szeptają skargę: „mamo, jaka ja tu byłam sama"... Wreszcie przychodzi sen.

Budzi się powoli; powoli też zdaje sobie sprawę z przejść ubiegłego dnia; wstaje ociężale, nie spieszy się; wie, że dyrektor przyjdzie o 9. Smutno jej bardzo brać urlop, tłomaczyć się... Gospodyni coś przeczuwa. Pyta się o powód jej przygnębienia. Janka wykorzystuje ten moment, wypowiada mieszkanie, je śniadanie i idzie do biura.

Dyrektor z pewnym żalem patrzy się na Jankę, widzi nadmierne jej wychudzenie. Ułatwia jej urlop, telefonuje do sanatorium, zamawia pokój. Janka nie spodziewała się tyle życzliwości, dziękuje za pracę i udaje się po raz ostatni do swojego biurka — z nikim się nie żegna — nie ma sił.

Ze spuszczoną głową wraca Janka do domu... Południe. W tym czasie Janka nigdy nie chodziła po mieście. Rozgląda się zdziwiona.... Ale to jej nie cieszy. Wszystko trzeba pożegnać. Na jak długo?... Musi jeszcze napisać list do siostry, spakować potrzebne rzeczy, a to wszystko tak męczy. Wreszcie i dom — wychodzi na schody i po chwili jest już w pokoju. Rozbiera się — widzi przygotowaną już walizkę. Myśli, co wziąć; a więc pakuje najpierw książki, potem ubranie, jeszcze jeden rzut na pokój — nad łóżkiem pozostał jeszcze obrazek św. Teresy. Zastanawia ją. Ta święta umiłowała krzyż. Jej ręce tulą go do serca, a oczy zapatrzone w zaświaty. Po chwili zastanowienia Janka zdejmuje obrazek; kładzie do walizki. Zmęczona siada i czeka na dorożkę. Turkot dorożki budzi ją z odrętwienia, — żegna się z gospodynią i opuszcza dom, tak obcy dla niej.

Początkowo jazda po tłumnych ulicach denerwuje ją. Ale oto już jest za miastem. Wreszcie w oddali ukazują się schludne domki jednopiętrowe w dużym ogrodzie. To sanatorium. Woźnica skręca w aleję. Janka wysiada, dzwoni, odźwierna odbiera walizkę i przybyłą prowadzi do poczekalni. Janka siada na pierwszym z kraja stołku. Zaczyna ją drażnić ten spokój. Denerwuje ją to czekanie na kogoś, kogo nie zna. Wreszcie uchylają się drzwi. Wchodzi zakonnica. Twarz młoda, uśmiechnięta, wita Jankę. Zakonnica prowadzi ją do pokoju dla niej przeznaczonego — Janka idzie ze spuszczoną głową. Pokój jasny, zakonnica mówi, że słoneczny. W pokoju jest już walizka, zakonnica sama pomaga układać rzeczy, obrazek św. Teresy wiesza nad łóżkiem. Zmęczona Janka kładzie się na otomanie, spod oka obserwuje zakonnicę, wreszcie przerywa milczenie i pyta się, jak ma ją tytułować. Słyszy odpowiedź:

„Siostrą Emilią. Jest jeszcze druga siostra, dyżurna, siostra Zofia; gdy ja mam dyżur w nocy, ona pełni służbę w dzień i tak na każdy dzwonek służyć będziemy pani. Jest ładny park i jeśli tylko zdrowie pani pozwoli, będzie pani mogła przechadzać się w dni pogodne, jest i biblioteka szpitalna, a obok kaplica. Jak pani odpocznie, przyjdzie lekarz bardzo oddany dla chorych".

Zakonnica wychodzi. — Janka pozostaje sama. Czuje pustkę, wprawdzie przyzwyczaiła się do niej, ale dziś, cóżby dała, żeby ktoś był z nią, ktoś swój!

Ktoś puka. „Proszę". Wchodzi doktor. Niski, mocno szpakowaty. Janka poprawia rozwichrzone włosy, siada na otomanie. Lekarz zaczyna rozmowę. Wpatruje się badawczo w Jankę, widzi jej chorobliwy wygląd; to mu wystarcza. Wie, że choroba zniszczyła organizm. Mimo to prowadzi ożywioną rozmowę.

Nadmiar i głód złota

(Dokończenie ze str. 2).

i wynoszą około 2.000 ton, przy czym główna część tego złota spoczywa w pancernych kasach hinduskich maharadżów. Razem liczyć należy, że do tej pory nagromadzono w całym świecie około 30.000 ton złota. Zapytamy ze zdziwieniem: I ta ogromna ilość złota jeszcze nie wystarczy w naszych kryzysowych czasach, kiedy obroty światowe skurczyły się tak bardzo? Odpowiedzieć trzeba, że niewątpliwie wystarczyłaby, gdyby ustrój społeczny i handlowy świata był inny. Jednak tych 30.000 ton złota nie ma w obiegu. Są one ukryte: przedtem kryła je zazdrośnie ziemia, obecnie ukrywane są z największą starannością i nie mniej zazdrośnie w sztucznych schowkach. Znowu wróciło ono pod ziemię, jakby bało się światła dziennego.

Skoncentrowano je głównie, jak zaznaczyliśmy, w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku, w potężnych skarbcach, przy czym o zbudowaniu najpotężniejszego takiego skarbca w Ameryce donosiły dzienniki stosunkowo niedawno. We wnętrzu ziemi, bronione wszystkimi środkami, którymi rozporządza współczesna technika, ukrywa się przeważna część tych ogromnych ilości złota i nie chce wejść w obrót gospodarczy. Sklepienia skarbca Banku Angielskiego kryją 1.600 ton złota; jest to największa ilość złota jaką kiedykolwiek Bank posiadał.

Zapas złota Banku Angielskiego jest stosunkowo mały w porównaniu z 4.445 tonami złota, przechowywanymi w sercu Paryża i zabezpieczonymi w niesłychanie wymyślnym skarbcu, zbudowanym z potężnych bloków cementowych, a opatrzonym w wieże opancerzone, rury wodne i t. d. Ale i te 4.500 ton nie są największym zapasem złota, bowiem Stany Zjednoczone posiadają prawie 12.000 ton złota w podziemiach centralnego banku. Aby przewieźć ten zapas złota na nowe miejsce spoczynku odkomenderowano 22.000 żołnierzy do strzeżenia linii kolejowej, po której miały przebiec pociągi ze złotem do prawdziwej fortecy, jaką jest nowy skarbiec amerykański w forcie Knoxa.

I widzimy, że im więcej złota wydobywa się na światło dzienne przy produkcji, tym bardziej ukrywa się je w ciemnościach skarbców. Powstaje prawdziwe błędne koło. I prawdopodobnie będzie się to zjawisko długo jeszcze przeciągało, bo jeszcze jesteśmy dalecy od tego, by wyczerpać cały dostępny ludzkiej przemyślności, zapas złota w skorupie ziemskiej. Czytaliśmy, w jak szybkim tempie Rosja zwiększyła swoją produkcję złota, ale gdyby nawet wyczerpanie złóż rosyjskich nastąpiło prędzej, niż to się przewiduje, to jeszcze na długo starczą złoża południowo-afrykańskie. Jedna jedyna kopalnia złota nad brzegiem Białej Wody mogłaby rocznie dostarczyć dziewięć razy więcej złota, niż go się dobywa w całym świecie, — gdyby wyzyskać jej maksymalną wydajność. Obecnie prowadzi się w niej umiarkowanie wydobycie i czeka się, aż należycie wysoka cena złota dawać będzie odpowiednio wysokie zyski w produkcji złota. To też nie wyzyskuje się tam jeszcze złóż najobfitszych. Możemy się nie obawiać, by złota zabrakło, natomiast należy żywić obawę, że nikt z profanów nie będzie tego złota oglądać. Służy ono tylko jako podstawa i gwarancja obrotów pieniężnych, to też nawet ci uprzywilejowani, którzy mają środki na to, by kupować całe sztaby lub całe masy sztab złota, chowają je pod ziemią, skoro je tylko nabędą. Można powiedzieć, że mało kiedy a raczej nigdy nie wydzierano ziemi tyle złota, co w naszych czasach, a równocześnie nigdy też w stosunku do tego wydobycia złoto nie było tak rzadkie. jak obecnie.

Rozrywki umysłowe Nr 24

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Czwarty Konkurs Zadaniowy

(d. c.)

ZADANIE 9. — REBUS

John Ly & N. K. Kozłowski

czł. czł. Kl. Szar.



ZADANIE 10. — SZARADA - ŻAL

„Kasta“ czł. Kl. Szar.

Raz pięknym lecie został żal
i smutek po rozkoszy.
Uśmiechy żarkie uszły wdal —
ziąb je jesienny spłoszył.

W **sześć - czwartym** lekkim prześnił się
słoneczny przepych lata,
w źrenicach głodnych pięć i sześć
czerwonych skier poświata.

Dziś **raz** — **pięć** — **trzecia** męką tchnie
w szeleście zwiędłych liści:
wraz z malejącym lata dniem
dwa — **trzy**, najoczywiściej.

Rozkwit przyrody podał tył,
szaty ma chłodem zżarte.
. . . .
Takie jest opadłego z sił
lata **wtór** — **trzecie** — **czwarte**.

ZADANIE 11. — KRZYŻ MAGICZNY

W. Nosé — czł. Kl. Szar.

				A	A	A				
				A	A	A				
				A	A	A				
				A	A	A				
A	A	A	A	C	C	E	E	E	E	E
E	G	G	J	J	J	J	J	J	L	L
L	L	M	M	M	M	M	M	M	N	N
				O	O	R				
				R	S	S				
				S	S	T				
				T	T	T				

Powyższe litery w podanej figurze tak poprzestawiać, aby utworzyły 3 wyrazy poziomo i pionowo o równoznacznem brzmieniu. Znaczenie wyrazów: 1) Lunatyzm, 2) Ruchy liści i kwiatów, powodowane zmianą temperatury, — 3) Zespolenie różnych pierwiastków w jednolitą całość; wyciąganie złota z rudy za pomocą rtęci.

ZADANIE 12. — SZARADY — ABECADLO

(Dalszy ciąg)

Dziadek z Bakszty — czł. Kl. Szar.

17.

Cztery świecie jest radośnie,
bo skończyło się przedwiośnie.
Słońce **raz** — **trzy** co się uda,
a przyroda? — Istne cuda.

Trzecia — **pierwsza** kwiat rozpuszcza,
z **drugich** — **trzecich** z brzękiem tłuszcza
sześcionożna i skrzydlata
po zapasy w świat wylata.

Dwa skrzydlatej leśnej rzeszy
każda para tem się cieszy,
że już gniazdko ma gotowe,
więc spokojną ma się głowę.

. . . .

Jakże cudnie jest na świecie,
gdy słoneczko grzeje w lecie.

18.

Nazywa się **Cała** lub **Raz - trzecia**, kto woli,
jest sportsmeską: pływa, jeździ konno i lata,
wie, co znaczy „aut“, rozumie sens „goali“;
zna **drugich** - wspak **pierwszych** tuzin, woli [„Fiata“
niż lichą dryndulkę. Nie jest też dla niej męką
zdobyć **trzeci - drugi** szczyt,
No... bo jest sportsmenką.

Termin rozwiązania powyższych zadań, jak i wszystkich z bieżącego konkursu, upływa w dniu 15 października 1936 r.

Ponadto podajemy poniżej dla uczczenia bolesnej sercu każdego Polaka rocznicy, szaradę poświęconą

PAMIĘCI ŻWIRKI i WIGURY.

Piąte z was **raz** ma **sześć** do **dziewiątego**
lotników naszych, co lat temu cztery
wśród żalu Polski i świata całego,
odeszli z ziemi hen, do stratosfery.

Czwór - ósme losu nas dotknęło srodze,
że ten **dwa - trzy - czwór**, kto przysparza sławy
Ojczyźnie na swej krótkiej życia drodze;
Jeden - dziesiątej - jedenastej prawy.

Nie **siedem - szósty**, zadurzony w sobie
gdzieś w brazylijskiej **Siódmej - czwartej - [pierwszej**,
lecz nasi Chłopcy, i my na Ich grobie
łzy wylewamy gorzkie i najszczersze.

Bo Ich imiona — to **trzy - raz** narodu
sześć - czwórki - dziesiąty los skrócił Ich życie
zabrał do duchów wielkich korowodu,
gdzie Ich potrafią uczcić należycie.

Ułożył

„Wielbiciel skromnych Bohaterów“

Przy rozwiązaniu powyższej szarady prosimy podać nazwisko, ew. pseudonim autora.

Janka nie spostrzegła się nawet, kiedy się rozpoczęło badanie.

„A więc pani ma stany podgorączkowe, kaszel“. — Janka odpowiada, lekarz bada gardło, płuca, serce. Konstatuje głośno, że „serce zdrowe“. Tym czasem myśli przeczuły gruźlicę, chora nie do uratowania. Zachowuje jednak spokój, przepisuje sposób leczenia i zapewniając Jankę, że dołoży wszelkich starań, by ulżyć jej cierpieniu — odchodzi. Wie, że w tym „numerze VII“ zacznie się znowu ta straszna walka między młodością a śmiercią, i on znów będzie bezsilnym i nie obroni młodego życia. W kancelarii nerwowym ruchem ręki przyciska guzik dzwonka i gdy wchodzi do kancelarii siostra Emilia, krótko oświadcza: „stan chorej z pod nr. 7 jest ciężki — sierota, polecam siostrze jak najserdeczniejszą opiekę nad chorą“.

Janka boi się położyć do łóżka szpitalnego. Myśl: kto przed nią zajmował ten pokój, czy wyszedł zdrów, czy umarł — zaprzątała jej umysł. Wejście zakonnicy przerywa te smutne refleksje. Siostra Emilia zdaje się czytać w oczach Janki, dlatego też sama ściele jej łóżko, przygotowuje lekarstwo, mierzy i zapisuje gorączkę i chorą Jankę układa do łóżka. Od tego dnia Janka czuje sympatię do zakonnicy. Jest to jedyny jasny promień w jej dniach monotonnych i gorączkowych nocach.

Po tygodniach zaczyna powoli dogorywać. Z początku wydawało jej się, że zdrowie wraca. Nieraz nawet nie wstawała z łóżka; myślała: jeszcze trochę odpoczynku, a będę zupełnie zdrowa... Było to złudzenie.

Janka ciągle czyta powieści. Siostra Emilia chciałaby pchnąć jej myśl na inne tory. Chce w niej zbudzić wiarę i przygotować ją do rezygnacji z życia. Janka lubi Siostrę Emilię, ale ją drażni jej pobożność. Każde jej religijne słowo chce zmrozić zaciśnieniem ust i ściągnięciem brwi. Siostra Emilia udaje, że tego nie widzi. Jakby przypadkiem wzrok swój zwraca na obraz św. Teresy. Janka idzie za wzrokiem zakonnicy i widzi, że uśmiech zakonnicy taki podobny do uśmiechu Świętej i cała postać. Tylko ręce zakonnicy przesuwają ziarnka różańca, a ręce Świętej przyciskają Krzyż.

Janka nie może zdobyć się na rezygnację; czuje się pokrzywdzoną przez życie, a łaknie go. Wczytuje się w powieści i śni o bajce życia ta młoda suchotnica, w samotnym pokoju sanatoryjnym.

Aż jednego dnia uczuła się wyjątkowo źle. Rozpalonej, rozgorączkowanej zdaje się jej, że śmierć się zbliża. Szalony, nieludzki strach zaczyna szarpać jej serce. Janka broni się przed nim. Jak go odpędzić?... Bierze książkę, którą jej przyniosła — dziś właśnie — Zośka. „Figle amora“... Wszystko jej już jedno, co czyta. Byle zapomnieć, byle strach ustąpił. Jednak litery zaczynają skakać, dreszcz gwałtowny wstrząsa ciałem chorej, Janka ostatnim wysiłkiem woli dzwoni. Na ostry, alarmujący głos dzwonka wpada siostra Emilia i widzi obłąkane z przestrachu oczy chorej i słyszy cichy szept: „Siostro umieram — księdza“. Siostra Emilia ma już wprawę w ocenianiu sytuacji — wzrok chorej sam mówi o niebezpieczeństwie, więc dzwoni po lekarza i trze zimne ręce.

Przychodzi lekarz. Zastrzyk. Janka prosi S. Emilię, by została przy niej i jeszcze — o księdza. Zakonnica posyła po księdza. Sprząta pokój po zabiegach lekarskich, nakrywa stół czystym obrusem, ustawia świece i chorą przygotowuje do spowiedzi. Janka czeka z niecierpliwością. Wreszcie otwierają się drzwi, światło latarni oświeca chorą. Wchodzi ksiądz, składa Hostię św. na stole, szybkim krokiem kieruje się w stronę łóżka chorej. Widzi, że tej chorej przynosi na prawdę ostatnią już pociechę. S. Emilia wychodzi.

Usta chorej z trudnością szepczą wyznanie. Wreszcie podrywa się na łokciach. „Ojcze, dla czego mam umierać?... Boje się.. Zabić chciałam tę trwogę i nie potrafiłam. Wszystko przeminęło, tylko trwoga przed śmiercią pozostała. Cierpię fizycznie, moralnie jeszcze więcej“.

Janka zmęczyła się; opada na poduszki. Ksiądz z litością spogląda na chorą. A gdy odpoczęła, zaczyna mówić: „Bóg jest z nami. Za chwilę sama Go przyjmiesz. Wszak jako katoliczka modliłaś się codziennie: „wierzę w ciała zmartwychwstanie i w żywot wieczny“. I cóż znaczy rok, 100 lat życia na ziemi wobec wieczności? Czy wiesz, że to ciało, które tak ci ciąży i dokucza, zmartwychwstanie? Życie to tylko droga a nie cel. Celem jest Ten, który stworzył życie i wieczność... Czy wiesz, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa takie, jak ty, młode osoby ofiarowały swe życie na świadectwo Prawdzie“.

Janka słucha. Nowa myśl zaczyna kiełkować w jej duszy. — Wszak żyć będzie, śmierć to brama! To brama do nowego życia... Życie przez śmierć... Jest pozyskana!

Na drugi dzień budzi się Janka spokojna. Cierpienia jednak zwiększają się z godziny na godzinę — każde poruszenie sprawia chorej nieopisany ból. Janka oczekuje przybycia swej siostry p. S. Wzrok ma zwrócony na drzwi. Nie zawodzi się. Przywitać ją może już tylko oczyma.

Chwilami w przebłyskach przytomności wzrok chorej zwraca się w stronę obrazu św. Teresy, a ręka szuka ręki siostry, by ją uściskiem ostatnim pożegnać. S. Emilia wraz z panią S. czuwa przy konającej. Wreszcie ostatnie, głębokie, tchnienie i śmierć kładzie kres męce. Siostra Emilia zamyka oczy zmarłej. Pani S. nie może znieść wrażenia. W jakimś nerwowym wstrząsie, nie mogąc uszanować majestatu śmierci, wyrzuca z siebie słowa zuchwałe, prawie bluźniercze.

A gdy nastał ranek pani S. opuszcza sanatorium. Pozostałe po siostrze rzeczy niesie sama w walizce w ręku, bezmyślnie trzyma tę książkę, którą znalazła na stoliku w pokoju umarłej. Przed sanatorium czeka jakieś auto. Auto jest zapełnione ludźmi. Okładka książki interesuje podróżnych, czerwona okładka i tytuł: „Figle Amora“. A że wszyscy wracają z sanatorium, jedna z pań pyta panią S. kogo ma w sanatorium. „Już nikogo — dziś w nocy umarła mi siostra, o to jej rzeczy i książki“. W oczach nie ma łez, a na ustach tylko twarde, ostre słowa. Cóż warte jest życie, jesteśmy skazańcy, którzy zginąć mają od kuli rewolwerowej — tylko nie wiadomo kiedy i — za co!... Na to słyszy spokojny głos: „jeśli życie uważamy za zabawę, jeśli stracimy jego cel, — jeśli zapomnimy o życiu zagrobowem“.

O, życie!... Jakże jesteś mądre!

Białka Tatrzańska, sierpień.

KUPON Nr 24.

ważny do dnia 15-go X b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Wszystkie — można powiedzieć — społeczeństwa i wszystkie narody cywilizowane przechodzą obecnie kryzys ideologiczny, za którym idzie kryzys instytucyj prawno-państwowych, kryzys gospodarczy. społeczny i t. d. Jesteśmy w takim okresie historii, w którym można powiedzieć, że się wszystko chwieje i zmienia. Także i życie religijne... Alboż to, co się z protestantyzmem stało w Niemczech, nie ma swojej wymowy? A ruchy bezbożnicze w Europie?

Także i Ameryka przechodzi podobne przeobrażenia i emocje. A z tem wiąże się zagadnienie przyszłości katolicyzmu na tym kontynencie, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych A. P. Interesujące dane na ten temat przynosi w korespondencji z Ameryki „anglokatolicki" periodyk londyński „Church Times" (organ tego prądu anglikańskiego, który dużymi sympatiami darzy Kościół katolicki).

KOŚCIÓŁ I MURZYNI W AMERYCE. „Jeden z moich przyjaciół amerykańskich — pisze korespondent tego pisma — powiedział mi, że w czasie względnie niedalekim Kościół katolicki zdobędzie panowanie w Stanach Zjednoczonych. Pierwszą z racyj, które za tem przemawiają. jest to, że katolickie narody (Irlandczycy, Włosi, Polacy) mają liczne rodziny. Drugą zaś jest przedziwna administracja tego Kościoła". A jako trzecią wymienia wielkie szanse katolicyzmu wśród murzynów.

Na razie jednak tylko drobna liczba murzynów należy do Kościoła... Ogólnie przyjmuje się, że na terenie Stanów Zjednoczonych mieszka ich 12½ miliona, w czym 2½ miliona należy do sekty baptystów, 500 tys. do metodystów, a tylko 250 tys. do Kościoła katolickiego. Główną przyczyną tych małych dotąd zdobyczy duchowych Kościoła było to, że pracę nad nawracaniem murzynów na katolicyzm prowadzili misjonarze z białej rasy, podczas gdy sekty słały do nich autentycznych murzynów. Ostatnio jednak wzrosła znacznie liczba księży katolickich murzyńskiego pochodzenia i ten fakt — według „Church Times" — miał od razu wpłynąć na wzrost nawróceń wśród murzynów. A jest w tym społeczeństwie murzyńskim wiele na tym polu do zrobienia. Jest bowiem około 6 milionów takich murzynów w Stanach Zjednoczonych którzy żyją w ogóle bez religii i nie należą do żadnego wyznania.

Z drugiej jednak strony nie należy zapominać o trudności pracy białego misjonarza wśród murzynów. Murzyn traktuje ciągle to cywilizowane przecież społeczeństwo amerykańskie jako istotę niższą duchowo od „białego", prawie jako coś pośredniego między zwierzęciem, a „człowiekiem", t. j. białym. Znane są wypadki, że nie już pospolity robotnik murzyński. ale nawet zakonnica—murzyńska bywa przedmiotem szyderstw i poniżenia ze strony białych. I to nawet katolików... Podobno jednak w katolickich kołach daje się ostatnio stwierdzić inny stosunek do murzynów, a wraz z tym według londyńskiego pisma Kościół zyskuje lepsze szanse dla swej apostolskiej pracy wśród „czarnych".

PO BLUŹNIERCZEJ PROCESJI. We Francji wywiązała się ciekawa polemika na temat stosunku socjalizmu, wzgl. komunizmu, do religii... Zaczęło się to od bluźnierczej „procesji", którą komunistyczni robotnicy urządzili w miejscowości Garches (w diec. wersalskiej), a która wywołała powszechne oburzenie katolickiej i umiarkowanej opinii we Francji. Na protest biskupa Wersalu odpowiedział sekretarz generalny partii komunistycznej, p. Thorez, udzieleniem komunistom z Garches delikatnej nagany pisząc, że „nie pochwala" tej bluźnierczej maszkarady.

Odpowiedział mu „Populaire", organ p. Bluma i partii socjalistycznej (S. F. I. O.): „Robotnicy z dep. Nord prawdopodobnie będą zdziwieni, gdy się dowiedzą. że odtąd będą się musieli usprawiedliwiać, gdy zechcą w czasie manifestacji wołać: precz z piuską".

Organ komunistów, „l'Humanite". uczuł się tą złośliwą uwagą „Populaire'a" dotknięty i próbuje wyjaśnić „prawdziwe" stanowisko komunizmu francuskiego w stosunku do katolicyzmu. Jest to bardzo ciekawe...

POST W IMIĘ TAKTYKI. Twierdzi więc, że francuski komunizm w tej dziedzinie kieruje się wskazówkami przedwojennego działacza, Juliusza Guesde, i założonej przez niego marksistowskiej partii: „Partie Ouvrier Francais"). A tak Guesde, jak P. O. F.. był przeciwny walce z religią... W r. 1892. — pisze „l'Humanite" — Guesde założył w Roubaix kantynę robotniczą i zastrzegł się. że w piątek mają być w niej podawane postne(!) obiady. Bo nie trzeba „drażnić" niczyich uczuć religijnych...

Ale to tylko taktyka. Równocześnie bowiem „l'Humanite" przytacza rezolucję uchwaloną przez P. O. F. w r. 1902., w której naprzód potępiono „antyklerykalizm uprawiany przez naszych kierowników", ale zaraz potem dodano: „religie i w ogóle nadnaturalne koncepcje znikną dopiero w społeczeństwie, w którym po zniknięciu klasy wyzyskiwaczy. ludzkość zawładnąwszy środkami produkcji stanie się sama dla siebie opatrznością".

Czyli: dążymy do takiego społeczeństwa, w którym religia „zniknie". I nasza w tym głowa, by do tego dojść. Ale na razie pamiętajmy, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy się do swoich „nadnaturalnych koncepcyj" przywiązują. Tolerujmy ich do czasu! A jeśli tak wypadnie ze względów taktycznych, to przestrzegajmy nawet postu w piątek!... Prawda. jak genialna taktyka.

LENIN O RELIGII I ATEIŹMIE. „La Croix", która te oświadczenia komunistów przygważdża, robi uwagę, że teraz dopiero rozumie się, co znaczy owo „wyciągnięcie ręki" do katolików o którym partia komunistyczna Francji często w ostatnim czasie mówiła. A nadto przytacza szereg wyjątków z pism Lenina. Warto z nich parę zacytować!

„Winniśmy — brzmi jedno z oświadczeń Lenina — religię zwalczać. Takie jest „a-b-c" materializmu i pochodzącego od niego, marksizmu, Ale marksizm nie jest materializmem, który się trzyma tylko swego „a-b-c". Marksizm idzie dalej. Mówi: Trzeba **umieć(!)** walczyć z religią.

Anarchista, który głosi wojnę z Bogiem za wszelką cenę, pomaga popom... Marksista winien być materialistą, t. j. wrogiem religii. ale materialistą dialektycznym, t. j. prowadzącym walkę z religią nie w sposób abstrakcyjny, ale konkretny, na terenie walki klasowej realnej".

W końcu zaś tych zawiłych wywodów oświadcza Lenin. że „materializm dialektyczny" każe się ateistycznemu socjalizmowi liczyć z wierzeniami robotnika chrześcijańskiego i o to zabiegać, by go nie zrażać do socjalizmu, ale przeciwnie zjednywać—przez pobłażanie dla jego religijnych przekonań. W ten bowiem sposób — kończy Lenin — „prędzej doprowadzi robotników chrześcijańskich do socjalnej demokracji i ateizmu, niż przez zwykłą mowę ateistyczną"... A więc ciągle myśli socjalizm o prowadzeniu robotników do ateizmu..

Pejot.

Frenologia ze stanowiska doktryny katolickiej

Nauka zwana frenologią przyjmuje zasadę, że z formy czaszki można wnioskować o umysłowych władzach człowieka i że z tych własności budowy czaszki, niektórych wydatności, wklęsłości i t. d. można poznać charakter i wrodzone zdolności.

Jednym z pierwszych i najwybitniejszych propagatorów frenologii był Franciszek Józef Gall, słynny anatom (1758—1828) z Tiefenbrunn (Badenia). Był on lekarzem w Wiedniu, gdzie zasłynął odczytami swymi o kranioskopii, a następnie przeniósł się do Paryża. Swój system frenologii wyłożył w dziele napisanym wspólnie ze Spurzheimem p. t. „Anatomie et physiologie du systeme nerveux".

Główne zasady frenologii są następujące: dusza jest tylko w mózgu. Każda władza psychiczna znajduje się w odpowiedniej części mózgu. Z budowy czaszki można wnioskować o kształtach i budowie mózgu, a za tym o własnościach psychicznych człowieka.

Widzimy, że frenologia zahacza o problem duszy ludzkiej. Jaki jest stosunek tej pseudo-wiedzy do nauki katolickiej i wiedzy nowoczesnej? Tą kwestią zajął się ostatnio londyński tygodnik „The Universe" z 4 września b. r.

Jeżeli chodzi o pogląd frenologii w oświetleniu ideologii katolickiej, to na podstawie twierdzeń św. Tomasza „De potentiis animae" c. IV należy stwierdzić, że chociaż mózg trzeba uważać jako centralny organ władz zmysłowych, błędnym jest jednak utrzymywanie, jakoby wszystkie władze psychiczne zależne były od materii, są bowiem władze nieorganiczne, t. j. nie zależne od materii np. rozum i wola.

Katolicki uczony psycholog angielski Maher w swej „Psychology" na str. 564 i następnych pisząc o frenologii konkluduje w ten sposób: „Zasady frenologii, kraniologii i kranioskopii ze stanowiska danych nowoczesnej psychologii i filozofii nie dadzą się utrzymać. Ostatnie badania wykazały, że teorie frenologii o budowie mózgu ludzkiego są błędne".

Inny znawca przedmiotu profesor Macalister z uniwersytetu Cambridge, słynny nowoczesny anatom w „Enciclopedia Britannica" t. 21 w swej ocenie frenologii pisze, że teorie Galla i Spurzheima o rozmieszczeniu części mózgu, kierujących poszczególnymi własnościami psychologicznymi, nie zostały potwierdzone przez najnowsze badania kory mózgowej. Nowoczesna psychologia doświadczalna wskazuje. że system frenologii w zastosowaniu praktycznym nie daje określeń zgodnych z rzeczywistością.

Stąd wniosek, że stosowanie frenologii w pedagogice i życiu praktycznym przy określeniu charakteru człowieka jest bałamuctwem — przynoszącym raczej szkodę i sprowadzającym zamęt pojęć.

Z obcej niwy

Lekkomyślne bezbożnictwo

Episkopat Polski wezwał nas w swym jasnogórskim orędziu po Synodzie Plenarnym do walki z bezbożnictwem. Zapewne nie chodzi mu o walkę z samym tylko — najściślej pojętym — ateizmem, który przeczy istnieniu Boga. Ale w ogóle o ten szeroki nurt współczesny, który nie tylko z samym Bogiem chce walczyć, ale z religią, z Kościołem. Walka z tym prądem jest i w Polsce konieczna. Nie ma wprawdzie u nas takiego przejawu niedowiarstwa, jakim w Rosji lub Francji są „związki bezbożników", a w Niemczech „nowopogaństwo". Natomiast działają kółka wolnomyślne. I „wolnomyślicielstwo" w Polsce jest odpowiednikiem tamtych prądów. Na czymże ono polega? Na tym szyderczym lub lekkomyślnym nastawieniu w stosunku do religii, które było właściwe „encyklopedystom" z końca 18 wieku we Francji. Na tym punkcie Polska jest więc zacofana. Część jej inteligencji żyje ideologią 18 wieku. Żartuje sobie z rzeczy wielkich i świętych; zaufana w „rozum" lekceważy wiarę.

Warto tu przypomnieć jednego z tych, którzy w 19 wieku przeciwstawiali się temu „duchowi 18 w.", — mianowicie Ernesta Hells... W jednym czasie — mówiono we Francji — żyło „trzech wielkich Ernestów: Renan, Naville i Hello. Wszyscy zajmowali się religią. Hello był jej żarliwym obrońcą. Renan — wrogiem. A Naville (Francuz szwajcarski)? Tęsknił za „prawdziwą religią", ale się bał jej konsekwencyj. Powiedział raz: „Któż z nas protestantów, wchodząc do świątyni, nie tęskni za konfesjonałem, który jest w katolickim kościele?"

Hello był przede wszystkim świetnym polemistą. Miał to, co nazywany „darem słowa". Jego pióro było jak lancet w ręku znakomitego chirurga. Cięło niezawodnie i szło głęboko. Całe swoje życie poświęcił walce z „duchem 18 wieku", — z ateizmem. A walka nie była łatwa. Inteligencja francuska w połowie wieku 19, to nie inteligencja 20 wieku. Renan był jej bożyszczem, a tylko garstka przyznawała się do katolicyzmu. Hello nie był sam, ale nie czuł za sobą wielkiego prądu kulturalnego, z którym np. płyną dziś Maritain, Claudel, Daniel Rops i in.

Oto, jak w pierwszym swoim dziele: „Renan, l'Allemagne et l'atheisme" (1858 r.) rozprawia się z tymi lekkomyślnymi pisarzami, którzy swym sceptycyzmem i szyderstwem podważają zasadnicze prawdy religii, a równocześnie twierdzą (jak p. Boy-Żeleński w Polsce), że wcale nie chcą niszczyć wiary w masach.

„A jeśli — odpowiała im Hello — te wasze szyderstwa się przyjmą? Razem z nami staniecie się ofiarą nierozsądku i nieostrożności. Zapóźno będzie żałować! Paryż, Francja, świat cały napiszą na swoich grzach prawdę, którą wam przepowiadam, nim dzwony uderzą na powszechną zagładę: „Sofiści żartowali, a tłum im wierzył".

Ktoś wykształcony pisze książkę, umieszcza w niej kilka interesujących poglądów, wyraża je zgrabnie i jest zadowolony. Udały mu się, mają powodzenie. W tych kilku zdaniach zaprzecza różnicy zła i dobra, obraża rozum i sumienie. Świat jest lekkomyślny i ten człowiek rozumny wie o tem. Książka idzie w świat. Bawiła z początku literatów, takich, jak sam autor: przecież w tym celu była napisana. Ale nadejdzie chwila, kiedy tłum ją weźmie do ręki; tłum, który wszystko chce poznać i wszystko bierze na serio. Głos dalej się rozlegnie, niż sądzicie i mimo waszej woli dojdzie do tłumu. Tłum was słucha, a może wam uwierzyć, bo go do tego skłaniają jego namiętności. A wtedy biada wam! Zapóźno poznacie to. bo wam dzisiaj, opierając się na dziejach idei i zdarzeń, przepowiadam: „Sofiści żartują, a tłum im wierzy!"

...Tłum — powiadacie — potrzebuje Boga. Jakim sposobem, jeśli — jak mówicie — Boga nie ma? Jeśli Bóg jest nicością, w jaki sposób tłum Go może potrzebować? A jeśli jest Bytem, dlaczego wy nie odczuwacie jego potrzeby?

Człowiek żyje, łaknie i pragnie. Co chcecie, aby robił z „niczem", którym go częstujecie?

Rzecz godna uwagi, że sofistyka, zatraciwszy poczucie prawdy, lekceważy tych, którzy ją zachowali, a nie mając dość siły, aby przyjąć i nosić w sobie Boga, gardzi tymi, którzy Go mają w sobie. Przypomina to chorego, który nie mogąc już przyjmować pokarmów, wymawiał w gorączce swemu lekarzowi: „Musisz być bardzo słaby, skoro potrzebujesz jedzenia".

——00000——

Zmierzch republiki mnichów na górze Athos

Według wieści nadchodzących z Grecji, dni słynnej republiki klasztorów prawosławnych na górze Athos są już policzone. Gdy przed wielką wojną liczba zakonników w klasztorach wynosiła około 15 tysięcy, już w r. 1920 spadła do 5.140. w r. 1933 do 2.500, a obecnie do 185. Upadkowi Athosu w znacznej mierze sprzyja fakt, że Grecja, która po drugiej wojnie bałkańskiej objęła protektorat nad klasztorami Athosu, odmawia obecnie płacenia dalszego subsydium na utrzymanie tej miniaturowej republiki klasztornej.

•

Chociaż na „świętej górze" (hagion oros) Athosu pustelnicy i zakonnicy chrześcijańscy osiadali niewątpliwie dużo wcześniej, pierwszą historyczną datą założenia tam klasztoru jest rok 962, gdy św. Atanazy Athonites dzięki poparciu późniejszego cesarza Nicefora Phokos ufundował klasztor Laury (Megiste Lavra), od którego nazwy wzięły następnie miano „ławry" klasztory na Wschodzie. Wkrótce po tym na górze Athos powstał klasztor gruziński Iwiron, a następnie Watopaediu i łaciński klasztor Amelfinów. Z czasem na Athosie powstały i inne klasztory, m. in. w XII wieku rosyjski Xylurgu, serbski Chilandariu oraz bułgarski Zographu. Kiedy mnisi z góry Athos odłączyli się od jedności z Kościołem, dokładnie nie wiadomo. faktem jednak jest, że jeszcze na Soborze Florenckim (1438—39) przedstawiciele klasztorów Lawry i Watopaediu wypowiedzieli się po stronie Rzymu. Prądy unionistyczne nurtowały zresztą bardzo silnie i w czasach późniejszych bez większego jednak powodzenia, mnisi Athosu bowiem zbyt pochłonięci byli sporami wewnętrznymi, nie zawsze religijnymi. Pewien kres sporom tym położyła konstytucja z r. 1783 z pewnymi zmianami utrzymana i w nowych. w r. 1924 opracowanych, regulaminach organizacji klasztorów Athosu, gwarantująca pewną samodzielność administracji w stosunku do władz państwowych dawniej tureckich. a od r. 1913 — greckich. W myśl tych ustaw klasztorami Athosu, podzielonymi na 4 pentady, po pięć klasztorów w każdej, rządzi rada ihumenów tych klasztorów, t. zw. „hiera koinotes", na czele z czterema „epistatami" (reprezentantami pentad) obradującymi pod przewodnictwem „protoepistata". W początkach bieżącego stulecia, jak podaje „Lexikon für Theologie und Kirche", na ogólną liczbę 7.432 mnichów z Athosu 3.276 było Greków, 3.496 Rosjan, 307 Bułgarów, 286 Rumunów, 51 Gruzinów i 16 Serbów. Obecnie większość mnichów z Athosu osiadła w Jugosławii. Bułgarii i Albanii.